

KONRAD KOMORNICZAK

# **„IMPREZA”**

Imprezę zaanonsowałam wcześniej. Przynajmniej od pół roku, może siedmiu miesięcy, wiadomo było, że się odbędzie. Jak to między przyjaciółmi, nie wysyłałam zaproszeń. Po co nadawać zadęcia i pompy sytuacjom, które z natury cechuje lekkość i brak zobowiązań. Tym bardziej, że we własnym gronie, nierzadko lekko podchmieleni, żartowaliśmy ze sztywniaków, uprzejmie zawiadamiających, że... lub, jeszcze lepiej, iż... . Szepnęłam tu i ówdzie słowo, najpierw koleżankom i nie przeszkadzało mi w ogóle, że to straszne plotkary i zaraz wszystkim rozgadają. Nie będę oryginalna, jeśli powiem, że trochę na to właśnie liczyłam. Wkrótce z łatwością potrafiłam po minie rozpoznać, którzy ludzie właśnie od nich o imprezie już wiedzą. Cieszyłam się niezmiernie, bo też co to byłoby za przyjęcie bez ludzi, bez szczerych powitalnych uścisków, wzruszeń i ciągnących się w nieskończoność rozmów o tym co wczoraj, jutro i dziś. Wiadomo, jednych zna się trochę lepiej, drugich gorzej, trzecich czasem, co jak wyrzut sumienia, nie pamięta się wcale, ale człowiek zawsze cieszy się, że wszyscy przyszli właśnie dla niego. Na imprezę, którą zorganizował.

Oczywiście nie zabrakło wątpiających i malkontentów, z lubością wstawiających po słowie impreza wytłumaczenie, że być może się nie odbędzie; że zostało jeszcze dużo czasu. Wieść o imprezie nabierała jednak odpowiedniej dynamiki, dla przedsięwzięcia tej rangi, więc już z nieco mniejszym napięciem można było podejść do spraw drobniejszych, acz niemniej ważnych, a wymagających należytej uwagi. Należało czym prędzej wybrać miejsce, a z racji wyjątkowo ciepłego początku jesieni zdecydowałam, iż impreza, przynajmniej częściowo, odbędzie się na dworze. Trochę, by wśród złotorudych liści przypomnieć sobie radosne, słoneczne lata, a jeszcze bardziej by zagrać na nosie niby wszechwładnej naturze. To przecież zrozumiałe, że jako nastolatka muszę się buntować. Nawet, gdy nie mam ochoty. By nie stracić reputacji. Dom wybrałam nieco nietypowy, skromny, niewielki, za to z ogromnym, nawet jak na nasze potrzeby ogrodem. Dodatkowo, w oddaleniu od innych zabudowań, pod lasem, mogliśmy liczyć na nieco mniejsze niż zwykle kłopoty z sąsiadami. Zarządca zapewnił, że podobne imprezy odbywały się tu już nieraz i nigdy nikt nie skarżył się na jakiegokolwiek problemy. Ustaliłam harmonogram. O dwunastej oficjalnie przywitam gości.

Pozostawał już tylko strój na imprezę. Nie wiem jak inne dziewczyny, ale ja chciałam się naprawdę przygotować i kupić kreację, którą goście zapamiętają na zawsze. Próbowałam wyciągać moje koleżanki na wielogodzinne mityngi w centrach handlowych, lecz te, zazwyczaj skore to tego typu rozrywek, tym razem się opierały. Podejrzewam, że bały się, że w którymś ze sklepów spodoba nam się to samo, a one wtedy pokornie będą musiały odpuścić, jako że to organizatorce imprezy należy się palma pierwszeństwa. Przecież to nie ślub, a ze mnie żadna panna młoda żeby podglądnicie kreacji miało przynieść pecha. Poza tym nie mogło. Już nie teraz. Wszystko było zaplanowane i przygotowane na bicie dzwonów zapracowanego zegara, który jakby spiesząc się, może na inne przyjęcia, wciąż nabierał tempa.

Wszystko działo się bardzo szybko. Imprezę zaczynałam czuć w kościach, mięśniach, żołądku. Znacnie ten stan. A może nie. Trochę pewnie też był to stres. Szczęśliwie niedowiarki przestały już wątpić i również szykowały stroje na tę szczególną okazję, która mimo zdecydowanej ekscytacji i oczekiwania, postanowiła nadejść choć trochę niespodziewanie. Człowiek wie, szykuje się, a gdy nadejdzie czas to i tak zawsze dziwi się, że to tak szybko. Wtedy w głowie pojawia się smutna refleksja, że jutro będzie już po. Goście rozejdą się do domu i z kacem zapomną ile pracy włożyło się w przygotowania. Ale nic to, bo nadszedł dzień i nadchodziła godzina. Dwunasta. Przyjechałam wcześniej by dopilnować wszystkiego osobiście. Melduję, że impreza przygotowana w najdrobniejszym detalu. Przysiadłam więc w domu na podwyższeniu naprzeciwko drzwi. Znalazłam się tym samym w dogodnej pozycji, by od razu rozpoznać nadchodzących gości, a tym samym w nielicznych przerwach, gdyby akurat nikt się nie pojawiał, nie tracić widoku na kojący spokojem ogród. Poza tym mogłam

natychmiast przejmować i rozpakowywać prezenty. Nikt mi nie powie, że prezenty nie są ważne. I co z tego, że nie urodziny, tylko impreza. Ale moja impreza, to może będą i prezenty.

Pierwsi goście raz po raz zaczęli przesłaniać mi poświęcę złotej jesieni. Jakby w odpowiedzi na ich przybycie ocknął się didżej. Może jeszcze nie do końca, bo póki co puścił jakieś smuty. Rany boskie, Gośka. Jak ona się ubrała. A już nic tam ubiór, ale te paznokcie. Niestosowne! – taka właśnie musiała być nazwa tego lakieru. Super Gośka, że jesteś. Zawsze roztrzepana, rozkojarzona no i ubrana, tak o, byle się ubrać. Dobrze, że ubrana. Są i chłopaki. Elegancko w garniturach. Moi bohaterowie. Zwłaszcza jeden, ale o tym cicho sza. Dawno niewidziani kuzynowie i kuzynki. Ich zaprasza się w sumie z grzeczności, ale jak przyjadą to zawsze jest strasznie miło. Kwiaty, kwiaty, więcej kwiatów. Na moją cześć, rzecz jasna. Organizatorki imprezy. Dom wypełniał się już po brzegi i ludzie ustawiali się na dworze. O to właśnie chodziło. Domówka i garden party w jednym. Rodzice? Babcia? Wujek z ciocią. No świetnie. Nie żebym miała coś przeciwko. Kocham ich wszystkich, ale wiadomo jak to z rodziną. Na imprezy się ich nie zaprasza, bo są zbyt uczuciowi i protekcyjnalni. Chcą chronić, przytulać, zagadać na śmierć. I nie daj bóg wygłaszać toasty. Pewnie koleżanki zrobiły mi niespodziankę i przekazały im wiadomość. Dostaną za swoje, wstrętne maniury. Wstałam na moment, żeby zerknąć z innej perspektywy na ogród. Pełno ludzi. Mission completed. Gdy przy próbie zliczenia wszystkich, trzeci raz zgubiłam się koło osiemdziesięciu, zabiły dzwony. Dwunasta.

Nie wstawiałam, jako że już stałam. Nie usiadłam, bo siedzieć nie chciałam, nie w takiej chwili. No dobrze, ale bez przeciągania, bo trzeba przywitać gości. Boję się bardzo. Wszyscy patrzą na mnie i oczekują mądrych słów. Nie czegoś zwykłego. To impreza, nie może być jak zwykle. Intensywnie przeszukując głowę, cicho, drżąc wyrywa mi się tylko: dziękuję, że byliście, a mój speszony głos porywają na zawsze szeleszczące w ogrodzie liście, pochłaniają tysiąc- albo i więcej-letnie kamienie. Bo człowiek, myśli i wydaje mu się i jest pewien, a gdy przyjdzie impreza to zawsze się zdziwi i nie powie tego co chciał, jak chciał i komu chciał.